Kat. III (4)

Jerzmanowa, wrzesień 1955

Drogi Bracie Bolesławie,

Piszę do Ciebie ten list z naszej nowej ziemi, z Jerzmanowej w powiecie głogowskim. Ręka ciąży mi dzisiaj bardziej niż zwykle przy pługach i przy pracy w kuźni, bo i młot staje się z każdym miesiącem jakby cięższy. Zdrowie już nie to samo, Bolesławie, siły opuszczają człowieka szybciej, niżby się chciało. Gdy wieczorem przysiądę na progu po ciężkim dniu, chłód z ziemi coraz głębiej wchodzi w kości. Coraz częściej myślę wtedy o starych kątach i zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś przyjdzie nam razem usiąść przy jednym stole i po bratersku porozmawiać.

Pamiętasz zapewne ten styczeń czterdziestego szóstego roku, gdy w zaświadczeniu z urzędu ewakuacyjnego wpisali mi numer 2517, urzędnicy podbili pieczątki i wyprawili nas na Zachód. Zostawiliśmy za sobą całe nasze dotychczasowe życie – rodzinne Zubkowo, naszą rzemieślniczą pracę i ziemię, którąśmy kupowali z takim trudem. Pamiętasz marzec trzydziestego trzeciego roku u notariusza Nowickiego w Nowogródku, gdy z płynnych groszy składaliśmy zadatek na cztery hektary od Tarnogórskiego? A potem ten styczeń trzydziestego siódmego roku u notariusza Tarneckiego, gdy spłacaliśmy parcele z majątku Sienieżyce od hrabiego Balińskiego-Jundziłła... Notariusz wciągał to w księgi hipoteczne i wydawało się, że budujemy grunt pod całe przyszłe pokolenia. Wszystko tam zostało: Twoje sześć parcel, moje pięć i cała nasza młodość.

Pamiętam naszą trudną drogę wagonami PUR-u. Jechaliśmy całą gromadą – ja, nasza matka Felicja, moja żona Helena, mała Leokadia i roczny Lucjan. Helena cicho płakała po nocach za swoim rodzinnym Horodecznem. Pamiętam, jak w dwudziestym drugim roku braliśmy tam ślub. Zostawiła tam całą swoją rodzinę Sznitków i swoje rodzinne strony, a przecież szła za mną bez słowa skargi w nieznane, tuląc dzieci w zimnych, przepełnionych wagonach towarowych. Przewieźliśmy ze sobą tylko to, co udało się załadować pod okiem urzędników: pług, wóz, parę sprzętów domowych, nieco ziarna i żywności na drogę.

Kiedy wreszcie w czerwcu czterdziestego szóstego roku Zarząd Gminny w Polkowicach i punkt PUR odnotowały nasz przyjazd, skierowano nas tutaj, do Jerzmanowej. Ale nie myśl, Bolesławie, że weszliśmy na gotowe. Domy po Niemcach były poniszczone, gospodarstwa rozszabrowane przez przechodzące wojska i szabrowników, a pola wokół zarastały chwastami i kryły groźne niewybuchy. Pierwsze lata to była mordercza, codzienna walka o przetrwanie i kawałek chleba. Chodziłem po urzędach Starostwa Powiatowego w Głogowie, składałem wnioski pod numerem 138249, pokazywałem papier weryfikacyjny z udziału w walce z Niemcami i dowodziłem, że jesteśmy tu u siebie. Urzędnicze młyny mielą jednak niezwykle wolno – dopiero po tylu latach, w listopadzie zeszłego roku, Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej z Zielonej Góry przyznało mi wreszcie oficjalny dokument osadnika wojskowego.

Praca na roli wymagała nadludzkiego wysiłku. Całe szczęście, że przydawał mi się mój dawny fach kowalski. Sam naprawiałem pługi, kułem konie, prostowałem żelaza i pomagałem sąsiadom, bo o jakiekolwiek nowe narzędzia czy części było w sklepie czy na rynku niezwykle

trudno. A władza od początku nie ułatwiała życia – nakładali ciężkie obowiązkowe dostawy ziarna i mięsa, trzeba było oddawać plony, a sami musieliśmy budować wszystko od zera w ciągłej niepewności jutra.

Ale Pan Bóg błogosławił nam chociaż w dzieciach, i to dodawało sił w najcięższych chwilach. Nasza rodzina w Jerzmanowej mocno się powiększyła. Do Leokadii i Lucjana, których pamiętasz z drogi, dołączyli kolejno nasi synowie Wacław i Janek, potem córka Maryla, a na końcu najmłodszy nasz synek – Józef. Cieszy serce ten gwar i śmiech na podwórzu, choć i troska ogromna, jak to całe towarzystwo odziać, wykarmić i ubrać w tych trudnych, powojennych czasach. Często patrzę na małego Józefka, jak stawia swoje pierwsze niepewne kroki wokół domu, i tylko modlę się do Boga, żebym miał jeszcze choć trochę sił i czasu, by wychować go na ludzi i postawić na nogi... Zdrowie jednak marnieje z dnia na dzień i czuję, jak siły ze mnie uchodzą.

I choć żyjemy tu, obrabiamy tę zachodnią ziemię i włożyliśmy w nią tyle krwi, potu i ciężkiej pracy, to serce i tak stale ucieka na Wschód. Do dzisiaj śnią mi się nasze strony, zapach ziemi po deszczu w Zubkowie, ścieżki do grodu w Nowogródku i nasze dawne rozmowy. Tutaj wszystko jest inne – domy z czerwonej cegły, obcy ludzie zjechani z różnych stron Polski i ze Wschodu, z których każdy dźwiga własną krzywdę i żal za utraconym domem. Brakuje mi Ciebie, Bolesławie, brakuje bratniej pomocnej dłoni i tego naszego dawnego, wspólnego planowania.

Uważaj na siebie w Zubkowie, dbaj o rodzinę i pilnuj wszystkiego. Napisz mi koniecznie, co u Was słychać, jak w tym roku obradza ziemia, jak zdrowie matki i czy Wam tam lżej żyć. Niech Was Pan Bóg ma w swojej opiece i strzeże od wszelkiego złego.

Twój brat,

Kazimierz